

JERZY ANDRZEJEWSKI



PROZY WYBRANE
TOM 4

Apelacja

Teraz na ciebie zagłada

Już prawie nic

Nikt

Posłowiem opatrzył Andrzej Skrendo

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

APELACJA

(1967)

Pawilon kliniki psychosomatycznej, oznaczony numerem 9, znajduje się na rozległym i dość gęsto zadrzewionym terenie Szpitala Miejskiego w T. Miasto to malowniczo położone nad Wisłą, spokojne i bogate w historyczne zabytki, nie będąc obecnie wojewódzkim i nie posiadając szerzej rozbudowanego przemysłu, cieszy się w całym kraju rozgłosem jako stary i wybitny ośrodek uniwersytecki. Pawilon numer 9, jak większość szpitalnych pomieszczeń, pochodzi z pierwszej połowy wieku XIX, lecz jego patyna raczej biedę ujawnia aniżeli zabytkowość. Natomiast wewnątrz dawno, bo po zniszczeniach wojennych raz tylko w roku 1946 gruntownie odnawiany i wyposażony wówczas przez amerykańską Unrę, ciasny, a w rozplanowaniu anachronicznie wierny wymaganiom sztuki medycznej sprzed lat kilkudziesięciu, tylko dzięki zapałowi oraz upartej energii ordynatora kliniki, docenta Stefana Plebańskiego, oraz dobranej przez niego starannie ekipie młodych lekarzy i lekarek stał się mimo swych przyrodzonych ułomności terenem wyprostowywania nadto zawitych ścieżek zaplątanych i umęczonych ludzkich umysłów.

Doktor Plebański, psychiatra nie pierwszej młodości, musiał w swoim czasie na różnych szczeblach urzędniczej hierarchii pokonywać rozliczne przeszkody, uprzedzenia, a nawet przesady, zanim z początkiem lat sześćdziesiątych zdołał przy Szpitalu Miejskim w T.

uruchomić ów oddział psychosomatyczny i to od razu na prawach kliniki uniwersyteckiej. Domagając się uporczywie, nieraz wbrew własnej karierze, utworzenia podobnej placówki, wychodził z prostego założenia, że nie wszyscy nerwowo chorzy nadają się do leczenia w zakładach specjalistycznych, nastawionych przede wszystkim na schorzenia szczególnie ciężkie, w wielu wypadkach nieuleczalne i ponadto, przykładem Tworki, Drewnica czy Kobierzyn, obciążonych w opinii publicznej złowrogim mrokiem dożywotnich obłądów i szaleństw. Nawet ludzie uznani za zdrowych w chwili opuszczania owych zakładów wracają do życia z uczuciem wstydu, jakby ciążyło na nich hańbiące piętno. Klinika psychosomatyczna, nawet w swej oficjalnej nazwie odzęgując się od zwulgaryzowanego terminu: psychiatryczna, miała być zgodnie z założeniem docenta Plebańskiego czymś pośrednim pomiędzy zakładem psychiatrycznym a zwykłym szpitalem. W praktyce stworzyło to w klinice warunki dość szczególne, w których skrupulatna rewizja rzeczy osobistych, ubezpieczone okna, brak noży przy posiłkach, sale z drzwiami obowiązkowo otwartymi i szereg innych ograniczeń regulaminowych harmonijnie koegzystowały z udzielaniem niektórym pacjentom przepustek wyjściowych na soboty, a nawet soboty i niedziele. Podobnym luzem regulaminowym stał się ostatnio tak zwany pokój psychologa.

Konieczność nieustannego współżycia z bliźnimi, wynikająca z warunków lokalnych, sprzyjała niekiedy społecznej reedukacji jednostek, których powiązania rodzinne lub zawodowe uległy niebezpiecznemu

nadwątleniu, chwiejną i kusą niteczką się stając, a nie jak być powinno, dobrowolnie, a nawet z gorliwą ochoczością przyjętym powrozem. Bywają przecież wypadki, gdy pacjent, aby odzyskać zwichniętą równowagę, potrzebuje kilku godzin samotności, tylko pozornie aspołecznej, bowiem właśnie w skupieniu sam na sam ze sobą, w zgodzie z własną naturą umacnia swoją kusą niteczkę. Dla pożytku takich jednostek docent Plebański, pokonując wiele przeszkód natury ekonomicznej oraz administracyjnej, wygospodarował na drugim piętrze pawilonu skromną klitkę, która po niekosztownych zabiegach przekształciła się z mansardowej rupieciarni w zaciszny gabinecik z biurkiem, parą klubowych foteli, kozetką oraz telefonem bezpośrednio łączącym z miastem. Dzięki tej inwestycji wybitny psycholog z t-skiego uniwersytetu mógł trzy razy w tygodniu udzielać pacjentom użytecznych dla ich świadomości konsultacji, stąd się wzięła nazwa gabinetu, z którego za specjalnym, oczywiście, zezwoleniem docenta Plebańskiego mogli w godzinach popołudniowych korzystać różni pacjenci, zresztą nieliczni, aby kilka godzin samotności spędzić z korzyścią dla swojej rekonwalescencji. Rzecz prosta, z używalności pokoju psychologa korzystali przede wszystkim intelektualiści oraz artyści, którzy na skutek męczących skłóceń z życiem oraz własnymi osobowościami schrániali się pod opiekę doktora Plebańskiego, aby przy jego naukowej, a dla niewtajemniczonych trochę magicznej pomocy odnowić potargane związki.

Był to zatem wypadek pod każdym względem nietypowy, gdy pewnego dnia w październiku roku 1967 jeden

z pacjentów, niejaki Marian Konieczny, lat czterdzieści jeden, żonaty, z zawodu technolog przetwórstwa mięsnego, obecnie na emeryturze, zamieszkały w O. – osobiście zgłosił się do ordynatora z prośbą, aby na okres kilku popołudni udzielono mu zezwolenia na korzystanie z pokoju psychologa.

Otrzymał je z miejsca i nawet nie został zapytany, dla jakich celów samotności i ciszy potrzebuje. Ta dyskrekcja ze strony docenta, świadcząca o zaufaniu dla nietypowego pacjenta, głęboko Koniecznego wzruszyła i tylko równowadze psychicznej, uzyskanej po z górą miesięcznej kuracji, przypisać należy, że nie zareagował bezradnym, dziecięco-męskim łkaniem, którego nasilone nawroty już po raz trzeci na przestrzeni ostatnich lat czterech zmuszały go były do szukania ratunku u doktora Plebańskiego. Więc się nie rozpląkał, lecz wobec wielkoduszności tak wzruszającej poczuł się zobowiązany równą lojalnością odwzajemnić. Zatem, zgodnie ze swoją potrzebą, tak się wypowiedział:

– Ja muszę wyjaśnić, panie docencie, dlaczego potrzebuję trochę spokoju, pan był zawsze dla mnie jak ojciec, więc ja przed panem, jak przed ojcem rodzonym, żadnych tajemnic nie mam i życzyć nie potrzebuję, pan mi zawsze dobrze poradzi, ja to wiem. Więc to jest tak, panie docencie, ja to sobie dokładnie przemyślałem, całe dnie tylko o tym myślę i myślę, także w nocy, jak się obudzę i spać nie mogę, wciąż myślę, nie, panie docencie, proszę się nie bać, mnie to nie denerwuje, jestem spokojny i spokojnie myślę, nogę mam tylko trochę niespokojną, ale ja wiem, że mi przejdzie, jak wrócę do

domu i normalnie zacznę żyć z żoną, a tak, jestem zupełnie spokojny i dlatego, jak dokładnie moją sprawę przemyślałem, doszedłem do wniosku, że jeden dla mnie ratunek, jedno szukanie sprawiedliwości ludzkiej, bo o boską się nie lękam. Pan Bóg nie odmówi mi nieba, jak tu na ziemi takie piekło przeszedłem, więc w związku z moją sprawą, ja znam, panie docencie, pana opinię w tym względzie, ale przysięgam na wszystkie świętości, na spokój moich dzieci, na wszystko, co mi drogie, na głowy moich synów, żeby mi oszczędzono ucierpień, jakich ja, ich ojciec, doświadczyłem, to nie jest moje urojenie, ja mam prawidłowe rozeznanie, także niezbite dowody, czasem mogę się mylić, ale podstawowe rozpoznanie mam prawidłowe, więc ja po dokładnym rozważeniu doszedłem do wniosku, że muszę teraz wszystko zrobić, aby moją niewinność udowodnić i żeby po dwunastu latach zaprzestano ze mną szatańskich sztuczek i żeby sprawiedliwości stało się zadość, bo krzywda, która mnie się dzieje, nie moją jest tylko krzywda. Ja, panie docencie, zawsze byłem i jestem jednostką społeczną, dlatego, jak mnie się dzieje taka ciężka i niesprawiedliwa krzywda, całe społeczeństwo od tej rozróbki cierpi, nie tak jest, panie docencie?

– Więc co pan postanowił, panie Konieczny? – spytał doktor Plebański.

– Odwołać się do samej góry postanowiłem, niech tam na górze dowiedzą się o mojej krzywdzie, niech wszystko w sumieniu obywatelskim zbadają i rozważą, a potem wyrok sprawiedliwy wydadzą, bo ja wierzę, panie docencie, i takie mam przekonanie, że na górze nic o moim

nieszczęściu nie wiedzą, te szatany z kontrwywiadu na pewno swoje sztuczki przed nimi zatajają, ale ja ufam, panie docencie, że jak u góry się dowiedzą, wtedy przyjdzie rozkaz, że jestem niewinny i czysty jak łąza i nikt z moich zażartych wrogów nie będzie śmiał mnie udęczać, sprawiedliwości zadość się stanie, prześladowania oszczercze ustaną, prawda zatryumfuje i ja publicznie będę zrehabilitowany, żebym miał prawo chodzić z podniesionym czołem i śmiało mógł patrzeć ludziom w oczy. Nie mam racji, panie docencie?

W oszczędnych słowach została ta racja Koniecznemu przyznana. Umocniony na duchu mówił dalej:

– Ja, gdybym nie był uspołeczniony, panie docencie, tobym się opiece boskiej polecił i na te wszystkie knowania machnął ręką i powiedział: a szukajcie, szukajcie, diabły wściekle, i tak nic nie znajdziecie, bo ja nigdy, Bóg mi świadkiem, zdrajcą mojego narodu nie byłem, żadnemu obcemu wywiadowi nigdy nie służyłem, ojczyźnie i władzy ludowej służyłem, zdrowia nie oszczędzając, a pracując, na ile mi tylko sił i umiejętności starczyło. Ale że jestem uspołeczniony, tu na ziemi sprawiedliwość chcę znaleźć, dla tego podjąłem zobowiązanie, żeby dokładnie opisać całe życie, niczego nie tając, samą prawdę pisząc i żeby potem, jak skończę, przesłać to pismo do najwyższych czynników władzy ludowej, niech się dowiedzą, co zrobiono z wiernym synem narodu, ja się o wyrok nie boję, wiem, że przez obywatela Pierwszego Sekretarza moja gehenna sprawiedliwie zostanie zważona i osądzona. Z tych powyższych względów ośmieliłem się pana docenta prosić, żeby mi było